

O sobie i swej twórczości, specjalnie dla „Nowin” mówi JEAN MARIE KERLEROUX — słany i ceniony rysownik francuski. Laureat prestiżowej nagrody „L'Humour Noir” (za czarny humor) z 1987 roku.

EN POLOGNE
IL SE PASSE TOUJOURS QUELQUE CHOSE...



W Polsce zawsze coś się dzieje.
Rys. JEAN MARIE KERLEROUX

Urodził się w 1936 roku w Besancon. Do Paryża przybył mając dwadzieścia lat, gdzie rozpoczął studia na Akademii Sztuk Pięknych. Szybko ją jednak porzucił, by zająć się pracą w charakterze rysownika prasowego, której — jak twierdzi — trzeba uczyć się samemu. W tym okresie stały dochód czerpał z wykonywania ilustracji książkowych. Jego rysunki ukazywały się m. in. w takich pismach jak „Liberation”, „Le Matin”, „De Paris”, „Le Minde”, czy „Politique Hebdo”. Na stałe związał się z redakcją gazety „Le Canard Enchaîné”, w której pracuje do dziś.

— W swej twórczości wiele miejsc poświęcił Pan sprawom polskim. Czy istniały ku temu jakieś specjalne uwarunkowania?

— Polska, którą znam jedynie ze środków masowego przekazu, to kraj pełen sprzeczności, no i przede wszystkim obfitujący w wiele ważnych wydarzeń. Czy to za komuny, czy obecnie, kiedy ciągle dzieje się coś ciekawego, czy to w sensie negatywnym czy pozytywnym. Nie sposób tego pominąć.

— Czy pamięta Pan swój pierwszy „polski” rysunek?

— Nie bardzo. Było to jednak w czasach Gierka. Rządy komunistów były dla mnie, jako rysownika satyrycznego nie lada pożywką. Sygnałem do przyjrzenia się bardziej wnikliwie waszym sprawom był okres wprowadzenia kartek na cukier. Później okazało się, że strajki w 78. roku, wydarzenia z 80. roku, protesty społeczne i reakcje byłych komunistycznych bonzów, wreszcie okrągły stół, no i oczywiście Wałęsa, Mazowiecki — postaci z waszego życia politycznego, które bardzo sobie cenię, choć — jak ta w moim zawodzie bywa — również ich nie oszczędzam.

— Jak Pana zdaniem polscy artyści reagowali na wydarzenia, które Pan ośmieszał, czy ukazywał w satyrycznym świetle?

— Moje kontakty z polską sztuką zaczęły się dość wcześnie, gdy jako młody chłopak, zaprenumerowałem szwajcarskie pismo „Graphist”. Pismo tam było prac waszych rysowników, plastyków, plakatistów i grafików. Byłem zaszokowany ich wysokimi walorami artystycznymi. Znakomite, podobnie jak amerykańskie, tyle że miały wschodnie podłoże. Jeśli zaś chodzi o satyrę, no cóż, ja byłem w lepszej sytuacji, niż polscy rysownicy ograniczani cenzurą. Zmuszeni milczeć lub posługiwać się kamuflażem.

— Czy miał Pan kłopoty ze strony czytelników w związku z publikacją rysunku o naszym kraju?

— Tak. Najwięcej krytycznych listów otrzymałem po wydrukowaniu pracy o aferze

GIGANTYCZNY STRACH

wokół klasztoru karmelitanek z Oświęcimia. Nie dziwiło mnie to zresztą. To była wojna religijna. Nie ma nic gorszego.

— Równie pochlebna cenzurkę wystawiliby Pan polskim pisarzom?

— Waszą literaturę poznałem przez „małe drzwi”. Zaczęłem od nowel Mrożka i Niestety, nie czytałem nigdy Gombrowicza. Żałuję, gdyż uważałem, że miał on duży wpływ na literaturę francuską. Dużym odkryciem był dla mnie „Pamiętnik znaleziony w Saragossie” Potockiego.

— Czy również pozytywnie ocenia Pan film, którego scenariusz oparty został na tej powieści?

— Tak. Jest zresztą kilka dzieł polskiej kinematografii, które do głębi mną wstrząsnęły. Do dziś mam dreszcze. Są to: „Matka Joanna od Aniołów”, „Kanał”, „Popiół i diament” oraz „Pasażerka”.

— W dwóch z wymienionych przez Pana filmach, główne role grał nasz znakomity artysta Zbigniew Cybulski.

— Cybulskiego bardzo lubiłem. Znaczący aktor i równocześnie bardzo dziwna postać. Taki trochę nasz Gerard Philippe. Romantyczny i trywialny zarazem. „Anioł ludzki” to byłoby chyba właściwe określenie jego osobowości.

— A Janda, która już dość znana jest we Francji?

— Zdecydowanie nie jestem i nigdy nie będę jej wielbicielem. Widziałem ją oczywiście u Wajdy w „Człowieku z żelaza” i „Człowieku z marmuru” oraz kilku francuskich filmach. Dla mnie jest mało przekonująca.

— A jak postrzega Pan kulturę francuską w chwili obecnej?

— Katastrofa. W kinie za dużo filmów mdłych, pozbawionych jakichkolwiek artystycznych wartości. Malarstwo — głęboki marazm. Piosenka — nie istnieje, oczywiście ta znacząca. Jedynie teatr utrzymuje się na bardzo dobrym poziomie.

— Sądząc po ilości prac pu-

blikowanych w prasie czy książek z rysunkami można by przypuszczać, że jest Pan tytanem pracy.

— To tylko pozory. Rysuję jedynie w pewnych określonych godzinach. W poniedziałki i wtorki, zajęty jestem w redakcji „Le Canard Enchaîné”. W pozostałe dni, robię ilustracje książkowe, rysunki na wystawy. Pracuję zawsze rano, od godz. 10 do 15, nigdy dłużej, chyba że mam jakieś ważne zamówienie. Zdarza mi się wtedy ślecieć do późnej nocy.

— A w wolnej chwili czym najchętniej się Pan zajmuje?

— Wałęsam się po Paryżu i gapię na ludzkie gęby. Obserwuję wszędzie, w barach, restauracjach, metrze. Często spaceruję po bulwarze St. Michel. Zawsze pęmo tam dziwnych typów. Ilekroć znajduję w swoim domu pod Paryżem, sadzę drzewa. Uważam je za formę żywej rzeźby, a ja zawsze chciałem być rzeźbiarzem.

— Dlaczego więc nie rzeźbi Pan „klasycznie”?

— Boję się. Gigantyczny strach.

— Dziękuję za rozmowę.

GRAZYNA WOŹNIAK